

wanie pogoda mego usposobienia, została przerwana i przypomniała mi, że wisi nademną okrutna dłoń przeznaczenia, fatalnie zadziergnięta przed półtora-wiekami przez moją praprababkę. Obrzydł mi ten zamek, te bory, te straszne portrety i straszniejsze wspomnienia krwi i śmierci. Usiłowałam wymóżyć na dziaduniu, żeby mnie zaraz ztąd wywiózł gdzie byle ztąd jak najdalej, byłem nie oddychała tutaj- szym powietrzem, nie miała przed oczami duszy krwawych zbrodni, jakie się niegdyś rozegrały w tem okropnem zamczysku.

Było to w dzień moich imienin, przed tygodniem. Dziadunio obdarzywszy mnie rano przesłicznymi brylantowymi kolczykami, w staroświeckiej oprawie, klejnotem rodzinnym, jak mówił, ucałował mnie i począł się tłumaczyć, że nie może całego dnia, tak uroczystego, ze mną przepędzić, bo musi jechać do Sandomierza, który nasz wojownicy pod wodzą generała Sokolnickiego zdobyli przed tygodniem. Nie oponowałam przeciw temu, bo wiedziałam jak go ta wojna interesuje, i zresztą przywykłam do jego ciągłej nieobecności w tych czasach. Pojechał więc i zostałam sama. Zuzia ofiarowała mi przesłiczny bukiet kwiatów. wszyscy mi wieszowali i życzyli szczęścia, nawet potwór Kociuba się zjawił i mruczał coś pod nosem życząc „pannie pułkownikównie fortuny i w niebie korony“. Bardzo mi to wszystko bawiło, byłam wesoła, śmiałam się i żadnych złowieszczących przeczuć nie miałam. Dzień był piękny, ciepły nawet gorący, słoneczny i większą część poranku przepędziłam na tarasie zamkowym na świeżem powietrzu, gdzie pojedynczo cała służba się zjawiała, całowała mnie po rękach i nogach, życząc wszelakich szczęśliwości. Nawet, o! co za zaszczył! stał się przedemną pan Alfons Dziurkiewicz we własnej osobie, z czupryną à la Titus, obficie wysmarowaną pomadą topolową, której mdły zapach o mało mnie omdlenie nie przyprawił. w krawacie seledynowej barwy w czerwone kwiatki, i złożył mi piękny bukiet z róż, jaśminu i fiołków, a jednocześnie rozwinął jakiś papier, różową wstążeczką przepasany, pełen złożonych kwiatków i aniołków, „laurkę“, jak go Zuzia nazwała, i począł czytać wiersze, skomponowane przez niego samego, jak zapewniał, na uroczysty dzień mych imienin. W wierszu tym, który odczytywał z emfazą, nazywa mnie nie Julią, ale Lindorą i woła:

„Lindoro, obyś nieśmiertelną była,
Obyś zawsze była miła
Oby w tobie była siła
Byś szerca mężczyznom nie krwawiła“.

Musiałam wysłuchać tych wierszydeł z powagą, choć dusiłam się od śmiechu, patrząc na marną figurkę pana Alfonsa Dziurkiewicza, na jego fraczek nieco przyciasny i jasne spodnie kaźmirkowe, strój świąteczny, który na me imieniny na siebie przybrał, dając tem poznać, jak ten dzień jest dla niego uroczystym. Bawiła mnie też Zuzia, która stała obok mego krzesła, zapatrzona w pana Alfonsa jak w cudowne jakie zjawisko, rumieniąc się co chwila, a gdy jej ideał z podzięką odszedł, rzekła:

— Prawda panienko, że „laurka“ jest piękna i wiersze śliczne?

Oczywiście nie zaprzeczyłam temu, a Zuzia poczęła unosić się nad niepospolitą głową i uczonością pana Alfonsa Dziurkiewicza, z którym widocznie już się pogodziła była, bo przez kilka wieczorów nie mogłam jej utrzymać przy sobie. Niewątpliwie Zuzia „szerce pana Alfonsa zakrwawiła“

Tak przepędziłam wesoło i swobodnie dzień cały i zamierzałam część wieczoru przesiedzieć na tarasie, bo właśnie była pełnia i noc zapowiadała się być cudowną i bardzo poetycką. Ale o zmroku zaczęło się chmurzyć i zrobiła się w powietrzu taka cisza, że nawet listek żaden na drzewie nie drgnął, a świergoczące ptactwo ucichło. Widocznie zanosilo się na burzę i było tak parno, że pot mi z czoła spływał, choć siedziałam nieruchoma na krześle. Wszakże nie byłabym na tę zmianę zwróciła uwagi, nie miałam żadnych smutnych przeczuć, gdyby ich nie obudziła we mnie stara Gruszkowa. Przyszła cna do mnie na taras zadyszana, oblana potem, stękająca i przyniosła mi filiżankę kawy mrożonej

w lodzie, żebym się nieco na to gorąco ochłodziła, przyczem spoglądając na niebo, rzekła:

— Będzie burza. Spodziewałam się tego. Gdzieżby na św. Julię w Zamkowej Woli nie było burzy! pewnie to złe tak hula.

I westchnawszy dodała półszeptem, pół jękliwie:

— Panie Jezu daj, żeby dzień dzisiejszy przeszedł bez czego niepotrzebnego. Niech Najświętsza Panienka broni!

Zrazu nie zrozumiałem tych słów i tych westchnień i zapytał co to znaczy.

— Nie wie to panienka? odrzekła Gruszkowska.

— Nie wiem o czem Gruszkowska mówi.

— Przecie dziś św. Julii.

— No, tak, więc cóż z tego?

— A to z tego, że zawdy w ten dzień ta pani, co ją zadusili...

— Wiem! wiem! zawołałam przerażona — ach! po co mi Gruszkowska to przypominała?

— Jakże, nie miałam przypomnieć? przecie potra dać na Mszę świętą za duszę tej biednej pani.



— Przecie dziś świętej Julii.

Mówiłam Kociubskiemu, żeby jechał na św. Krzyż i zamówił u Ojców Mszę św. bo sama już nie mogę, grzeszne cielsko mi ciąży, ale gadaj ta z głupim chłopem, z przeproszeniem. Ja, peda, nie mogę nikaj odjechać z Zamkowej Woli, kiej jasnego pana niema, bo któżby domu pilnował? Niechże jasnie panienka przykaże, żeby jutro świtanie pojechał. Oj! oj! będzie burza, niech ręka Boska broni. Całą noc będę się modliła i chyba zamrę ze strachu.

Słowa te przeraziły mnie tak mocno, że odrazu mimo parnego i dusznego powietrza, dreszcz mnie przeszedł i o mało nie zemdlalam. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, gdzie się schronić, gdzie uciec przed widmem praprababki, które, przekonana byłam że mi się z pewnością ukaże tej nocy fatalnej i strasznej. W najwyższej trwodze zawołałam:

— Nie będę spała u siebie, przeniosę się do Gruszkowskiej. Nie chcę! nie chcę! niech Gruszkowska nie odchodzi odemnie! gdzie jest Zuzia?

— Pewnie ten latawiec siedzi w oficynie z tym fidrygantem pisarzem. Pójdę jej poszukać.

— Niech Gruszkowska nie odchodzi! idę z Gruszkowską!

Drżałam całą, przejęta śmiertelną obawą, chwyciłam Gruszkowską za rękę, nie chcąc pozostać tutaj

na tarasie sama, co staruszkę wprowadziło w przerażenie i wołała:

— O laboga! jakże mnie panienka przestraszyła! W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, a słowo ciałem się stało i mieszkało między nami!

Okrzyk ten wzbudził we mnie jeszcze większą bojaźń i rozpaczliwie trzymałam się niemniej przerażonej klucznicy, a tymczasem mrok zapadał z niezwykłą szybkością. Wielkie, ponure, czarne chmury zakrywały niebo, wichur szalony się zerwał i z szmerem, świstem i głuchym jakimś jękiem szaleć począł między drzewami parku, łamiąc gałęzie, zrywając liście, podnosząc ze ścieżek całe tumany kurzu i piasku, który wirując biegł i niebawem zakrył wszystko przed memi oczami. W dali dawał się słyszeć ponury jakiś pomruk i burza szła szybko, siły tajemnicze natury zbiegały się na umówioną schadzke i świat zrobił się straszny i groźny.

Byłam na pół nieprzytomna, nie wiedziałam co robić, ciągle tylko trzymałam się rąk Gruszkowskiej.

— Uciekajmy panienko — zawołała ona — bo jeno patrzeć, jak deszcz lunie.

Prawie przemocą wciągnęła mnie do owej wielkiej sali, w której dwukrotnie z dziaduniem oczekiwaliśmy na herszta Szydłę, i zajęła się starannie zamykaniem drzwi szklanych i zasuwaniem okiennic. Upadłam na pierwsze lepsze krzesło i z niewypowiedzianem uczuciem lęku, poczęłam się rozglądać dokoła. Sala pogrążona była w posępny półmrok, tylko z jednego okna, wychodzącego na zachód, padał jakiś krwawy blask i kładł się wielką, podłużną plamą na dywan spłowiwały, pokrywający środek komnaty. Po kątach popod meblami pełzały ponure ciemności, rozlażyły się leniwie, ogarniały wszystko i powoli zniemacka gasić zaczęły ową krwistą plamę.

Po sali powiał jakiś chłód przejmujący, wilgotny, jakby dobywał się z grobowca zamkniętego, a Gruszkowska uporawszy się z drzwiami, szła ku mnie i nagle zatrzymała się nieruchoma i głosem zduszonym, z głębi gardła się dobywającym, zawołała:

— Rany Boskie!...

I na moje straszne przerażenie ujrzałam, gdzieś z kątów i z ciemności wysuwającą się marę, postać mej praprababki, z twarzą wyrazistą tak jak na portrecie mistrz Dolabella ją odmalował, tylko z oczami przymkniętymi, reszta figury tak samo jak na obrazie rozplywała się w mglistych jakichś, mętnych konturach. Mara ta posuwała się wolno, raczej płynęła, jak szła, na krótką chwilę zatrzymała się na owej zblakłej już mocno krwistej plamie, od okna padającej; zdawało mi się przytem, że twarzą widmo zwróciło się do mnie... ale pewno że mi się to zdawało, bo z głośnym krzykiem rzuciłam się tak w tył, że m padła na podłogę i już nie wiem, co się dalej działo...

Obudziłam się, a raczej ocknęłam z omdlenia, ze stanu zupełnej nieświadomości w mojej sypialni, na łóżku, obok którego siedziała poczciwa Gruszkowska. Zazia się kręciła po pokoju, a z buduaru widziałam wyglądające ku mnie dwie dziewczyny służebne. Cały mój apartament był jasno oświetlony, gorzały wszystkie świece i lampy i widno było jak w dzień. Z zewnątrz dochodził szum wichru i dudnienie deszczu po dachu i okiennicach i głośny plusk wody spływającej z rynien, umieszczonych obok jednego z okien.

Ciąg dalszy nastąpi.